



PIOTR ŚEMLA  
KRONIKA  
ANIOŁÓW

*Jeszcze wszystko  
może się wydarzyć*

PIOTR SEMLA

KRONIKA

ANIOŁÓW

**PIOTR SEMLA**

**KRONIKA ANIOŁÓW**

**© Copyright by Piotr Semla**

Projekt okładki: Piotr Semla

(Materiał na okładkę pobrany z [www.pixabay.com](http://www.pixabay.com)  
na podstawie licencji CC0)

**ISBN e-book 978-83-7859-246-4**

**ISBN druk 978-83-7859-247-1**

Piotr Semla

Self-publishing

[piotrsem1@gmail.com](mailto:piotrsem1@gmail.com)

Zapraszam na moją stronę autorską:

[www.piotrsem1.pl](http://www.piotrsem1.pl)

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie,  
rozpowszechnianie całości lub fragmentu bez pisemnej  
zgody autora zabronione.**

Wydanie I, 2013

*Dla tych, którzy nigdy nie radzili mi, jak mam żyć,  
bo właśnie dzięki nim dzisiaj jestem sobą.*

---

## Prolog

Zawsze kochałem wiatr. Gdy byłem bardzo młody, wierzyłem, że wraz z nim przybyłem na świat w jakimś niewyjaśnionym i niezwykle ważnym celu. Przyglądałem się swojemu życiu z niedowierzaniem, jakby było ponadczasową opowieścią – jedną z takich, które czyta się dzieciom przed snem, torując im drogę do fascynującego świata snów. Staralem się każdy swój wybór, każde zachowanie, a nawet najdrobniejsze gesty wykonywać z inspiracją, karmioną przeświadczeniem, że jakiś niewidzialny kamerzysta uwiecznia moją historię. Nie zadawałem sobie pytania, czy istnieje przeznaczenie, bo nieprzerwanie czułem, jak jakaś nieokiełznana siła pcha mnie naprzód. Nie była potężna, wręcz przeciwnie – delikatniejsza niż obłoki subtelnie zachęcała moje stopy do stawiania kolejnych kroków. Tam wysoko w powietrzu istniało coś heroicznie wzniosłego, a zarazem bajecznie beztroskiego, to coś dawało niekwestionowaną radość, jednocześnie budząc niepokój, wynikający z przestrzeni nas dzielącej. Nigdy nikogo nie pytałem, co tam jest – od początku mówiono mi, że „w niebie mieszka Bóg”. Za tego tajemniczego kamerzystę uważałem swojego anioła. Był bliżej mnie niż Bóg, o którym tyle mi mówiono. W głębi serca czułem, że kiedyś go spotkam. Tak więc, będąc bardzo młodym nie miałem żadnych wątpliwości, bo

wiedziałem, że we właściwym czasie dowiem się wszystkiego.

Dopóki istniało tylko piękno i dobro, nie musiałem robić czegokolwiek, wyznaczanie kierunku dowolnego działania było niepotrzebne. Dopóki byłem kochanym dzieckiem, które ma wszystko, czego potrzebuje, świat wydawał się bez skazy. W pewnym okresie swojego życia gorączkowo żałowałem, że zamiast leżeć na trawie i marzyć, nie siedziałem przed telewizorem jak moja rodzina, bo wtedy nie uroiłbym sobie, iż moja przyszłość będzie składała się wyłącznie z utopijnych przeżyć.

Życie dorastającego i wchodzącego w relacje społeczne człowieka okazało się zupełnie inne, niż przypuszczałem. O tym, że (poza dobrem) istnieje zło, dowiedziałem się najwcześniej, kiedy to rówieśnicy nieustannie ze mnie drwili i ośmieszali mnie przy każdej okazji, a i bez okazji też. Pewnie nie ruszałoby mnie to tak bardzo, gdyby ich zachowanie było dla mnie karą za jakies przewinienie. Tymczasem cierpienie spotykało mnie po prostu, ze względu na to, kim byłem. Nieśmiały, spokojny, wiecznie zamyślony i niezdemoralizowany chłopiec przykuwał uwagę w szkolnej dżungli, gdzie liczyła się bystrość umysłu i odwaga, dzięki której można było szybko upozorować siebie jako najsilniejszego osobnika w stadzie. W miarę jak dostrzegałem, że siła karmi się słabością, a piękno jest wyśmiewane, zrozumiałem, że istnieje jeszcze coś – brzydota. I to gruncie rzeczy ona raziła mnie najbardziej aż do samego końca.

Z biegiem lat pojąłem, że zarówno moralność jak i dobro oraz zło można postrzegać z różnych subiektywnych punktów

widzenia. Sam stawałem w życiu po różnych stronach, więc zmuszanie siebie do wybierania tej najbardziej akceptowanej przez społeczeństwo, traciło dla mnie sens. Pewnie stałbym się pozbawionym zasad psychopata, gdyby nie – w zamęcie bezlitosnej relatywności – pojawiło się światło. Była nim jedyna rzecz, która obserwowana przeze mnie z jakiegokolwiek punktu widzenia, zawsze wyglądała tak samo – piękno.

Wściekłość na ludzką próżność utworzyła przepaść między utopią, której pragnąłem, a światem rzeczywistym, którego obraz szkicowało w moim umyśle społeczeństwo. Ponieważ nikt wcześniej nie nauczył mnie walczyć, na niebezpieczeństwo reagowałem ucieczką. Robiłem tak przez pierwsze osiem lat szkoły. Fakt, że w świecie rzeczywistym nie miałem przyjaciół, a rodzina z czasem zaczęła mnie ignorować, gdyż sam z niemożności emitowania entuzjazmu zaniedbywałem kontakty z nimi, doprowadził mnie z powrotem do świata dziecięcej fantazji.

Mając czternaście lat nie potrafiłem jeszcze zanegować istnienia Boga, a jedynie jego intencje, które bardzo szybko określiłem jako nieprzyjemne. Kiedy wracałem ze szkoły, w miejscu, gdzie dotychczas pojawiał się płacz, czułem pragnienie marzenia o tej sile, która prowadziła mnie w dzieciństwie. Skoro nie pomagał mi Bóg, jedyną siłą wyższą i jedynym moim przyjacielem, jaki mi pozostał, okazał się on... mój anioł. Dopóki moja wyobraźnia imitowała uścisk jego dłoni na mojej ręce, potrafiłem dokonywać rzeczy niemożliwych. Nie miałem kontroli nad wszystkim, ale zmieniałem rzeczy które wcześniej

były nie do ruszenia. Często marzyłem o tym, że któregoś dnia zmienię świat.

Do rozpoczęcia liceum miałem już przyjaciół i pierwszą dziewczynę, a co za tym idzie upozorowałem siebie jako „silnego osobnika w stadzie”. W pośpiechu nie zauważyłem, że wykorzystałem własny azyl przeciwko samemu sobie. Gdy nie potrzebowałem pomocy fantazji, zamiast żyć naprzemiennie w dwóch światach, wybierałem rzeczywistość. W pewnym momencie jawiło się u mnie przekonanie, że nie potrzebuję fantazji, i że uwolniłem się z tego urojonego, dziecięcego świata. Nic bardziej mylnego. On był częścią mnie – kiedy długo żyłem „normalnie” (tak, jak inni), ta introwertyczna część mnie rosła w siłę i często wybuchała, a ja chwiałem się na prawo i lewo, balansując na granicy jawy i obłądu.

Od kiedy zaistniałem wśród rówieśników, inni ludzie postrzegali mnie jako entuzjastycznego i błyskotliwego człowieka – tylko takiego siebie pozwoliłem im poznać. Widywali mnie praktycznie codziennie, ale nie byli obecni, kiedy nocami włóczyłem się, zaciskając zęby z bólu... żaden z nich nie towarzyszył mi przy mojej próbie samobójczej i nie popijał ze mną taniego wina na torach kolejowych. W te „złe dni” grałem „tego dobrego” i szło mi znakomicie, jednak każde kolejne najechanie mojego życiowego wagonu emocji na kolejną była coraz trudniejsza do zniesienia, a jedyna osoba która mogłaby mnie zrozumieć, mój ojciec, wyprowadził się i zostawił nas samych wraz z matką i siostrą. W dodatku skończyło się gimnazjum, a ja musiałem iść do nowej szkoły nie



mając na to siły. Zapewne długo bym nie pociągnął, gdyby nie zdarzył się cud – jedyna naprawdę dobra rzecz, która spotkała mnie dotychczas...

W liceum poznałem troje znakomitych ludzi: Amandę Wolczyk, Pawła Darowskiego i Sylwię Nowicką. To oni posklejali mnie do kupy, a moje serce podzielili na trzy części. Przy nich byłem kompletny, każdego dnia taki sam. Każdy z nas był inny, a razem tworzyliśmy coś niezwykłego. Niestety nic w życiu nie trwa wiecznie. Choć Amanda była moją dziewczyną, po dwóch latach wyjechała z Polski, a nasza paczka zaczęła się kruszyć. Po skończeniu liceum Paweł też zniknął. Po pierwszym roku studiów i Sylwię ukradł wielki świat. Oni byli moimi jedynymi przyjaciółmi. Kiedy zjawili się w moim życiu, wyciągnęli z niego na powierzchnię całą radość, kiedy zniknęli – zabrali ją ze sobą.

Nasze losy się przecinały, ale już nigdy nie spotkaliśmy się we czworo i nigdy nie powtórzyło się to, co na początku. Każdy z nas pragnął cofnąć czas, ale nikt nie otrzymał takiej mocy. Od kiedy Sylwia wyjechała, dwa lata byłem sam, włóczyłem się po zachodnich krajach, aż w końcu zrezygnowałem ze wszystkiego i utknąłem w punkcie wyjścia, ale już bez marzeń i ambicji. Po trzech latach nieobecności wrócił Paweł i zamieszkał z Sylwią. Kiedy dowiedzieli się, że jestem w szpitalu psychiatrycznym, od razu wyciągnęli mnie stamtąd i przygarnęli jak bezdomnego psa. Nawet nie zdążyłem się pozbierać, kiedy po pół roku później Paweł zginął w wypadku. Sylwia była wtedy z nim w ciąży. Początkowo jej pomagałem, lecz wkrótce ustąpiłem miejsca

komuś innemu, bo zdarzyło się coś na co czekałem większość swojej młodości – Amanda wróciła. Gdy jej nie było, dziurę jaką pozostawiła w moim sercu bezskutecznie próbowałem załatać wszystkim, czym się dało, lecz nawet jej powrót mnie nie wyleczył. Amanda nie była już tą samą osobą i ja nie byłem tym samym człowiekiem. Próbowaliśmy być razem, ale z naszej dawnej miłości pozostał tylko wrak, na którym nie można było zbudować nawet przyjaźni. Rozstaliśmy się ostatniego dnia wiosny w moje dwudzieste trzecie urodziny. Próbowałem zapomnieć o tej chwili, jednak widok Amandy patrzącej w lustro pozostał w mojej pamięci do dziś. Przypomniały mi się wtedy słowa jej pierwszego wiersza:

*W salonie dalej wisi lustro,  
które potłukę dzisiaj setny raz,  
a jutro znów mi przypomni  
moją prawdziwą twarz.*

Moje zamyślenie przerwał jej matowy wzrok, a pustka oczu przeraziła mnie. Przypomniały mi się wszystkie koszmary, o których mi opowiadała. Stałem jak wryty, a ona powiedziała mi, że musi odejść, lecz ja pierwszy raz w życiu nie próbowałem jej zatrzymać.

*Czasami w snach wciąż uciekam,  
ale zawsze donikąd...  
Próbuję znaleźć dom,*

*którego nie pamiętam.*

Moje największe marzenie okazało się złudzeniem, które zabrało mi wszystko. Życie które tliło się we mnie, zgasło i już nie targały mną skrajne stany emocjonalne, bo wszystkie pragnienia odeszły. Wszystko przeminęło, umarło. Dziecko które wypatrywało na niebie swojego anioła stróża, stało się niewidome, a mi pozostała tylko szara, doszczętnie brzydka rzeczywistość i kaleki świat, którego nikt ani nic już nie mogło wyleczyć.

Od kiedy ostatni raz widziałem Amandę, zacząłem dużo myśleć. Przeanalizowałem swoje życie i dostrzegłem w nim mnóstwo błędów, których nie byłbym w stanie uniknąć, nawet gdybym mógł cofnąć czas. Zawsze miałem wybór – ratować innych lub ratować siebie. Pomagając innym, zostawałem sam, skazując przyjaciół na pomaganie mi, a kiedy próbowałem ocalić siebie, inni pozostawali bez ratunku. Podejmowanie złych decyzji było moją odwieczną skazą. Nie wybierałem właściwych ścieżek, tylko te z lepszymi krajobrazami. To nigdy nie uległo zmianie i może właśnie dlatego nigdy nie ześwirowałem w przeciwieństwie do mojego ojca, że w moim światopoglądzie i dążeniach dominowała miłość do piękna i nienawiść do brzydoty. Dla mnie ten sposób myślenia był jedyną możliwą drogą, a jednak uczynił moje życie posągiem egoistycznych aspiracji. Nadawałem ludziom znaczenie i umieszczałem w prozie swojego życia w taki sposób, w jaki mi wydawał się najpiękniejszy, zupełnie jakby napotkani ludzie stanowili barwy,

a ja byłem malarzem pajęczyny naszych losów. Tak przejęło mnie to arcydzieło, że nim się obejrzałem farby wyschły, a ja nie zdążyłem go dokończyć. Stojąc skamieniały z pędzlem w dłoni, rozumiałem, że niezależnie od tego, czy miałem jakiś wybór czy nie, jestem winny za los tych wszystkich ludzi. Nie udało mi się ochronić ojca przed jego szaleństwem, nie uratowałem matki przed nim i przed samotnością, a moja siostra została bez brata, bo opuściłem ją dla przyjaciół, których w końcu również zawiodłem. Nie uchroniłem Amandy od strachu przed jej despotycznym ojcem, ani Pawła przed śmiercią. Z kolei Sylwia została z dzieckiem i mężczyzną, którego nie kocha. Z czasem i to poczucie winy sobie odpuściłem jak i całą resztę.

Nasza historia stała się smutna. Wiatr, który tak mocno kochałem, zebrał na sile i zmusił jesień do obnażenia drzew, które niegdyś zdobiły nasz park. Życie obudziło we mnie płomień, który spalił wszystko, co kochałem, a w moich dłoniach pozostawił jedynie kruszący się popiół, na znak klepsydry odliczający czas do końca mojego życia, na który dawno przestałem czekać.

To był właściwy moment na ucieczkę (z braku możliwego wyjścia – ucieczkę dokądkolwiek), chwila w której – gdyby moje życie nie toczyło się w świecie szarości – z nieba powinien spaść złoty deszcz...

Wtedy myślałem, że wycierpiałem wystarczająco dużo, by wszystko zakończyć – byłem w błędzie, bo... kiedy tak naprawdę wolno nam wierzyć, że już nic się nie wydarzy? Kiedy możemy stanąć w miejscu i uznać, że już dalej nie dobiegniemy? Czy

to, że wszystko dotychczas działało wedle ustalonego porządku, znaczy, że już zawsze tak będzie? A jeśli któregoś dnia stanie się coś zupełnie innego, czego nie przewidziały nawet nasze niemożliwe do spełnienia marzenia...?

## Rozdział pierwszy: Wyrok

Uciekałem najszybciej, jak się dało. Próbowałem całą siłę własnego umysłu przelać w mięśnie nóg, bo właśnie to było teraz najważniejsze – biec. Nie pamiętałem, ile czasu to trwało, ani przed czym uciekałem. Mój umysł ogarniał paniczny strach, który nie pozwalał mi wydobyć z siebie nawet jednej myśli. Istniały tylko moje nogi i wszechogarniająca mnie ciemność. Nie potrafiłem zweryfikować czy pod stopami znajduje się jakiś grunt, bo nic nie widziałem i nie czułem.

Dopiero po jakimś czasie dostrzegłem wyłaniające się z ciemności prawie niewidoczne zarysy wysokich bloków mieszkalnych. Znajdowały się po prawej i lewej stronie – w idealnej symetrii wyznaczały krawędzie podłoża, które zidentyfikowałem jako ulicę asfaltową. Mrok nie ustępował, a tych szczegółów było coraz więcej. Nie rozumiałem, w jaki sposób widzę cokolwiek w absolutnej ciemności.

Nie spowalniając ani na chwilę, odwróciłem głowę w tył – niczym ofiara, która w ostatnim akcie desperacji próbuje ujrzeć twarz drapieżnika. Ten mimowolny gest napełnił mnie jeszcze większym przerażeniem (choć gdybym mógł zebrać myśli, uznalbym, że bardziej bać się nie da). Kilkanaście metrów za mną pośrodku ulicy jawiła się czarna postać. Stała nie ruchomo, ale odniosłem wrażenie, że w ogóle nie oddala się ode mnie,

choć w przeciągu tego spojrzenia za siebie odległość między nami powinna się podwoić.

Odwróciłem się przed siebie i przyspieszyłem. Na skraju ulicy po obu stronach ukazały się latarnie prawie tak wysokie jak budynki. Świeciły, ale nie dawały światła, zupełnie jakby znajdowały się za niezwykle grupą czarną bibułą. Z kolei na ścianach blokowiska mrok nabierał kształtu przeraźliwie identycznych okien, jednocześnie tak niewyraźnych, że nie można było odgadnąć, czy umieszczone zostały w nich szyby.

Nie potrafiłem przełamać blokady przed odwróceniem się ponownie, ale w końcu głowa zrobiła to bez wkładu mojej inicjatywy. Pierwszy raz od kiedy pamiętałem, poczułem, że się przewrócę, gdy ta mroczna postać stała już nie kilkanaście, a zaledwie kilka metrów za mną. Strach nie pozwolił mi patrzeć na nią dłużej, niż ułamek sekundy, lecz to wystarczyło, aby po odwróceniu od niej głowy obraz postaci zaczął malować się wyraźnie przed oczami mojej wyobraźni. Zrozumiałem od razu, że nie jest człowiekiem, gdy pod kapturem ujrzałem wpatrujące się we mnie dwoje czarniejszych niż ciemność wokół oczu. Niewiele wyższa ode mnie istota wciąż stała nieruchomo, choć przemieszczałem się szybciej niż kiedykolwiek.

Ostatni szczegół, który ukazał się w mojej głowie to jego dłoń – przysiągłbym, że zaczęła unosić się do góry, choć nie patrzyłem na nią wystarczająco długo, by to stwierdzić. Gubiąc się na granicy wyobraźni i rzeczywistości, w przerażeniu obserwowałem dryfującą w moją stronę rękę.

Nagle poczułem bardzo silny, pozbawiony życia niczym

palce kościotrupa, uścisk na ramieniu...

Umieram – pomyślałem w końcu, choć bardziej bałem się tego, co nastąpi przed śmiercią.

Niczym pieśń pogrzebową, usłyszałem zdławiony krzyk mojego głosu, nadchodzący z daleka, jakby z innego wymiaru. Wraz z wyciem poczułem, że coś z piekielną siłą ciągnie mnie w jego stronę...

Ujrzałem jasne, nie budzące żadnych uczuć ściany znajomego pokoju oraz tytoniowy posmak w powietrzu. Mimo, że od koszmaru dzieliło mnie kilka głębokich stanów świadomości (które musiałem w jednej chwili przebyć, by się wybudzić), wcale nie odniosłem wrażenia, że już nie śpię. Często śniły mi się koszmary – ten jednak był inny, jakby pochodził absolutnej z głębi mojej podświadomości.

Obojętne przyzwyczajenie do rutynowych czynności zmusiło mnie do podniesienia górnej części ciała. Spojrzałem na niepościelone łóżko Radka (mojego współlokatora) w drugim końcu pokoju. Kołdra w połowie leżała na podłodze, przykrywając powysypywane pety z przewróconego słoika, służącego niegdyś za popielniczkę. Ze ściany – niczym flaga – powiewał plakat jakiegoś nieznanego mi zespołu zagranicznego, smagany powiewami wiatru z otwartego okna.

*Ciekawe, czy zdąży przypiąć ten plakat, nim odpadnie? Bo kiedy w końcu odpadnie, nie przypnie go już nigdy...*

Z trudem wysiliłem się na ten wręcz katatoniczny żart, po czym dotarło do mnie, że wcale mnie nie interesowało, co się



stanie z plakatem. Jego los był mi obojętny, zupełnie jak świat, który mój współlokator oglądał w telewizorze stojącym na półce obok mojego łóżka. Kiedyś wybrałbym miejsce obok okna, by wpatrywać się w noc i czuć powiew wiatru z samego rana, jednak teraz wolałem miejsce, z którego (śpiąc z głową w stronę rogu pokoju) w ogóle nie widziałem ekranu telewizora. Kiedy Radek coś oglądał, ja włączałem sobie muzykę przez słuchawki i to nie po to, aby się nią rozkoszować, tylko by zagłuszać jego kretyńskie seriale i bijące wręcz nieograniczoną groteską obrady sejmu. Czasem po prostu wychodziłem na zewnątrz.

Zrzuciłem z siebie mokrą od potu (wyemitowanego za sprawą jeszcze tłącego się moim umyśle koszmaru) koszulkę i wstałem z łóżka. Na bunt wszelkim próżnym zabobonom od których roilo się w stronach, w którym mieszkałem, zawsze wstawałem lewą nogą.

Z ledwością skoordynowałem swoje ruchy i – pokonując przekątną pokoju w drodze do meblościanki – o mało nie przewróciłem się o stół stojący obok kanapy. Od razu uświadomiłem sobie, że jeszcze nie zdążyłem zupełnie wytrzeźwieć po libacji alkoholowej, mającej miejsce poprzedniego dnia.

Opierając się wciąż o stół, postanowiłem zmienić trasę wędrówki i na nowy cel obrałem lodówkę. Przez znajdujące się pomiędzy dwoma naszymi łóżkami, pozbawione drzwi przejście do kuchni dostrzegłem moją metę. Tą trasę pokonałem bez żadnych przeszkód. Otworzyłem lodówkę i przyjrzałem się jej niezbyt okazałemu wnętrzu. W drodze redukcji (wyłączając

kawałek sera, niedojedzoną kanapkę i otwarty karton mleka) znalazłem to, co mnie interesowało – piwo. Została ostatnia butelka, ale uznałem to raczej za skromne błogosławieństwo, gdyż za chwilę miałem iść do pracy. Wyjąłem z kredensu łyżkę i pozbyłem się kapsla.

Teraz jestem gotowy na dojście do meblościanki – pomyślałem. Jednak gdy już znalazłem się obok niej, zdziwił mnie widok zamkniętych drzwi balkonowych.

– A papieros to już nie łaska?

Minęło parę minut, zanim znalazłem swoje fajki, po czym wyszedłem w samych bokserkach na balkon i odpaliłem papierosa. Nie myślałem o tym, ale był właśnie pierwszy dzień kalendarzowej wiosny. Niegdyś moja ulubiona pora roku, teraz była odbierana jako atak na legowisko moich prostackich przyzwyczajęń:

– Pieprzony wiatr – powiedziałem głośno. – Papieros mi się przepala.

Mijałem szereg niezbyt schludnie pielęgnowanych krzaków, gdy zza ich rogu wyłonił się szyld sklepu, do którego zmierzałem. Wielki, czerwony napis GLADIATOR przyprawiał mnie o irytację, ilekroć na niego spojrzałem. Nigdy nie dowiedziałem, się skąd powstała ta nazwa, ale podejrzewałem, że jego właścicielka próbowała nią zrekompensować mierność tej miejsciny. Gdyby nie ten szyld, każdy obcy przechodzień pewnie myślałby, że drzwi sklepu to zapewne wejście dla personelu piekarni albo magazyn osiedlowego baru, między

którymi mieścił się Gladiator.

Minęła chwila, nim znalazłem klucze. W tym czasie zdążyłem już dwa razy przeanalizować, dlaczego nie rzucę tej pracy, skoro przyprawia mnie o mdłości, i dwukrotnie doszedłem do tego samego wniosku – bardziej irytujące od pracowania tutaj byłoby szukanie nowej posady.

*Praca jest koniecznością, bez niej nikt ani nic mnie nie utrzyma. Jeśli ją stracę mogę jednocześnie rzucić się pod pociąg albo coś w tym rodzaju, bo żebranie i żerowanie na cudzej litości jest o wiele trudniejsze niż przysłowiowy stryczek.*

Nim przewiesiłem tabliczkę ZAMKNIĘTE na OTWARTE uzupełniłem braki towarowe na półkach. Nie było tego dużo (pracowałem z pewnością w najmniejszym sklepie na świecie), ale i tak z otwarciem spóźniłem się kilka minut, o czym poinformowało mnie stukanie w szybę pierwszego klienta.

*Ludzie są niewinni i słabi. Nie ma sensu ich karcić za ten papierkowy świat. Oni nie mają wyboru, są tym, czym się urodzili. Bądź miły...*

*Postaram się...*

*Nie masz się starać tylko robić to..*

*Zamknij się...*

Mój nerwowy, wewnętrzny dialog przerwał dźwięk zamka drzwi, po którym nastąpiło wpuszczenie do środka niskiej staruszki z torbami większymi od niej. Musiała mieć w nich wyłącznie pieczywo albo papier toaletowy, inaczej by tego biedaczka z pewnością nie podniosła z ziemi.

– Co podać? – zapytałem, wymuszając na sobie uśmiech.

– Masło i kawałek sera żółtego.

Co do masła nie miałem wątpliwości – był tylko jeden rodzaj, ale o ser musiałem zapytać. To znacznie utrudniało zadanie. Im więcej musiałem powiedzieć, tym większa była szansa, że się zatnę przy mówieniu i poczuję zakłopotanie, które utrudni przetrwanie tych paru następnych godzin. Musiałem dbać o każdy szczegół, bo wystarczyło niedopatrzenie, by pozorny spokój zamienić w zamęt bezradności. Od dawna wiedziałem, że wyłącznie mózgu ułatwiłoby mi życie, jednak nie znałem żadnego sposobu, by tego dokonać. Próżne analizowanie wszystkiego wokół zajmowało mi większość czasu, kiedy nie miałem z nikim odczuwalnego kontaktu – mówię „odczuwalnego”, bo obcy człowiek z którym łączyła mnie relacja sprzedawca-klient nie była niczym więcej, jak tylko częścią tego martwego krajobrazu lub może bardziej panoramy, która mnie otaczała.

Po dłuższej przerwie do wnętrza sklepu wbiegł nerwowym krokiem młody, elegancko ubrany mężczyzna z walizką i poprosił o papierosy. Już w myślach układałem historyjkę jego zakłopotania, gdy w drzwiach ujrzałem niską kobietę i na myśl, że to moja szefowa, sam poczułem się w gorszej sytuacji niż stojący obok mężczyzna.

Kierowniczką weszła za ladę, zrobiła obchód po sklepie, notując wzrokiem wszelkie niedopatrzenia. Była może przed czterdziestką, ale jej wredny wyraz twarzy dodawał jej z dwadzieścia lat i pewnie uznałbym ją za staruszkę, gdyby nie jej żywe, ale wciąż naturalne, czarne włosy. Kończąc zwiedzanie sklepu podeszła obok mnie i nie patrząc mi w oczy, powiedziała

aroganckim tonem:

– Jedna półka jest do wytarcia.

Zagotowało się we mnie, o czym zapewne wiedziała, jednak musiałem zachowywać się według narzuconego mi schematu, który zapewniał mi tę posadę:

– Oczywiście, zetrę za chwilę.

– Pieniądze w kasetce się zgadzają?

W końcu popatrzyła na mnie, ale tylko po to, by zmierzyć mnie wzrokiem, przypominającym spojrzenie aroganckiego sędziego, patrzącego się na bezbronnego, pozbawionego adwokata złodziejaszka.

– Tak.

– Na pewno?

*Prymityw. Tak bardzo boi się o swój stan posiadania, że musi zagłuszać ten strach złudzeniem władzy, którą karmi żalonym demonstrowaniem swojej pozycji społecznej...*

*Nie oceniaj, pamiętasz? Nie wiesz, jak wygląda jej życie. Nigdy nikogo nie oceniaj...*

Skupiłem się, by zagłuszyć myśli otoczeniem.

– Tak, co do grosza – odpowiedziałem, czując się jak po dwunastej rundzie przegranej walki bokserskiej, nie wiedząc, czy bardziej jestem wyczerpany fizycznie, czy psychicznie. Była dopiero 9:37 i czekało mnie jeszcze ponad siedem godzin pracy, a ja już miałem dość.

Kiedy kierowniczką wyszła, niczym tonący człowiek łapiący się pierwszej lepszej rzeczy, byle tylko nie pójść na dno, otworzyłem sobie piwo. Naliczyłem je na kasie i zapłaciłem,

następnie za jednym pociągnięciem wypilem pół butelki. Kiedy zrobiło mi się lepiej, popadłem w chwilową nostalgię.

*A gdyby wszystko ułożyło się inaczej? Kim byłbym, gdybym skończył studia?*

*To w sumie nie ma większego znaczenia – problem nigdy nie leżał w otoczeniu, tylko we mnie. Jestem inny, nie potrafię się dostosować do mechanizmów działających na tym świecie. To wszystko jest takie sztuczne...*

Po dwóch godzinach w drzwiach pojawił młody, energiczny mężczyzna średniego wzrostu, o wyglądzie osiłka, który od jakiegoś dłuższego czasu ewidentnie zaniedbywał ćwiczeń, jednak (pomimo postury) w pierwszej kolejności w oczy rzucała się jego biała koszulka z napisem „POCZUJ SIĘ SWOJO WE WŁASNEJ SKÓRZE”.

– Siema Wagner! Znowu chlejesz?

Podszedł szybkim krokiem i przybił ze mną piątkę. Lubił to – zwłaszcza, że mało kto stawiał opór jego tęgiej dłoni.

– Nie zgadłeś – uśmiechnąłem się pobłaźliwie.

– Dobra, cofam pytanie. Spróbuję jeszcze raz: Znowu chlałeś?

Jego ton głosu miał w sobie tyle energii, że można było pomylić go z krzykiem.

– Aż tak widać? – zapytałem obojętnie.

– Stary, z ulicy widać jak się chwiejesz. Zrozumiałbym, bo wczoraj było grubo i może Cię jeszcze rzucać, ale jest dwunasta, a ty wyglądasz jak żul! – Gdybym nie znał Radka,

pewnie uznałbym, że oskarża mnie o picie, jednak znając go, wiedziałem, że on po prostu w taki dziwny sposób okazuje podziw, który teraz akurat był nie na miejscu. – Masz wyjebane na wszystko! To się ceni!

– Zależy mi na tej pracy, nie może mnie wyrzucić – próbowałem jakoś stłumić jego aurę nadaktywności, nie mogąc z niej skorzystać. – Pierwsza praca, w której wytrzymałem dłużej niż dwa miesiące.

– Obaj wiemy, że wylecisz. A wiesz dlaczego? Bo nie do tego cię stworzono!

– Do rzeczy – przerwałem mu. – Zawsze, jak tu wpadasz, czegoś potrzebujesz albo chcesz iść się gdzieś schlać. Po twoim zachowaniu nadętego pawia domyślam się, że chodzi o to drugie.

– O! – teraz naprawdę zaczął krzyczeć. Żałowałem, że zawsze wpadał, kiedy w sklepie nikogo nie było – gdyby postępował inaczej odstraszałby klientów, tym samym dając mi większy luz. – To samo powtarzałem w wojsku: Nikt nie zna cię lepiej, niż stary kompan...

– Radek – znowu przerwałem, poczekałem dwie sekundy zanim to zauważy, po czym dokończyłem – ty nigdy nie byłeś w wojsku.

– Wiem! – klepnął mnie w ramię tak mocno, że o mało nie wpadłem w pułki z alkoholem. – Tylko sprawdzałem twoją czujność. Więc do rzeczy. Dzisiaj umówiłem się z fajnymi panienkami na mieście, a właściwie nie na mieście tylko w Jagiellonce. Powiedziałem im, że przyjdę z napalonym kumplem.

# Spis treści

Prolog	5
Rozdział pierwszy: Wyrok	14
Rozdział drugi: Anastis	45
Rozdział trzeci: Pojedynek	76
Rozdział czwarty: Świetlista armia	103
Rozdział piąty: Błękitna Wiktoria	129
Rozdział szósty: Zaginiona wyspa	158
Rozdział siódmy: Świątynia Hewen	178
Rozdział ósmy: Śmierć anioła	195
Rozdział dziewiąty: Rytuał	221
Rozdział dziesiąty: Dotyk anioła	246
Rozdział jedenasty: Przeznaczenie	263
Rozdział dwunasty: Kataris	285
Rozdział trzynasty: Wielka bitwa	306
Rozdział czternasty: Bezkrzes marzeń	329
Rozdział piętnasty: Ostatnia iskra	342
Rozdział szesnasty: Przebudzenie	359
Epilog	379